

66 Państwowy Teatr Ludowy w Nowej Hucie przez wiele sezonów nie miał szczęścia ani do repertuaru, ani do aktorów, ani do publiczności, ani – co jeszcze ważniejsze – do dyrektorów. Ludowy uchodził zawsze z jednej strony za wysunięty posterunek frontu kulturalnego (ach, ta nie zapomniana frazeologia!), z drugiej – za zdecydowanie gorszego brata teatrów krakowskich. Rzeczywiście: robienie teatru w tej dzielnicy Kra-

w środowiskach otaczających powołany teatr i będących jego potencjalną publicznością. Umie pertraktować z władzą, niezależnie od jej barwy i odcienia, ze sponsorami, z reżyserami i aktorami – szczególnie młodymi, dla których Ludowy to świetna, profesjonalna szkoła. Jak się okazuje – umie pertraktować nawet ze skinami, których żręcznie spacyfikował, niczym św. Franciszek groźnego wilka z Gubbio. Na

Zespół Ludowego pokazał, że u niego śpiewać nieźle, choć niewykluczone, że lepsze efekty można by osiągnąć, stosując stu procentowy playback. Z drugiej jednak strony, widowisko jest po prostu autentyczne, niczego się w nim nie udaje, nie sady na rzeczy niemożliwe do osiągnięcia. Kilka songów Paulicellego z *Forza...* może być przebojami – jest w nich tyle zwyczajnej radości, że w świecie mało radosnym, coraz bardziej brutalnym i nieszczerym, brzmią naprawdę pięknie. Wierzę, że postać św. Franciszka i jego kilka prostych zasad życia wśród ludzi, zwierząt, drzew i kwiatów są ważne nawet dla tych, dla których religia nie jest szczególną wartością. Na dodatek: przypomnie-

Niech będzie pochwalony

kowa, będącej raczej osobliwym z socjologicznego punktu widzenia miastem, to praca zdecydowanie niewdzięczna. W Nowej Hucie bowiem najszybciej dają się odczuć wszystkie wahania nastrojów społecznych, zarówno w pozytywnym, jak i w negatywnym sensie. Kryzys odbioru kultury musiał tu przybierać zawsze postać skrajną, niejako laboratoryjną. Był Ludowy zawsze więc wyglądał na mocno problematyczny: cieniutka warstewka miłośników teatru w samej Nowej Hucie nie mogła zapewnić trwałego powodzenia, zaś jeżdżenie z Krakowa do Ludowego na spektakle wyglądało na akt samoudręczenia. Powstawało przeto błędne koło, utrudniające prowadzenie teatru i zniechęcające aktorów.

Ale Ludowy miał przecież dobre lata – by przypomnieć działalność Krasowskich, klasyczną dla historii teatru. Być może zabrzmiało to niedobrze – ale w pewnym sensie owe dobre lata zawdzięczał Ludowy również **Ryszardowi Filipskiemu**, dopóki polityczne ambicje i chore, ideologiczne koncepcje tego dyrektora nie otoczyły teatru najgorszą aurą. W Nowej Hucie ludzi trzeba wciąż od nowa uczyć teatru, przywiązać do niego, pozwolić, by zaczęli mówić o nim *nasz*. Dotyczy to i publiczności, i samego zespołu. Ludowy nie może być dla nikogo miejscem zsyłki, ani też zamrażalnikiem, w którym oczekuje się na lepsze okazyje.

Ludowy pod kierownictwem **Jerzego Fedorowicza** ma wszystkie szanse, by przerwać wreszcie złą passę. Po prostu – Fedorowicz wie, czego chce i umie to przeprowadzić. Wie także, jakie mogą być warunki odbioru spektaklu teatralnego

w środowiskach otaczających powołany teatr i będących jego potencjalną publicznością. Umie pertraktować z władzą, niezależnie od jej barwy i odcienia, ze sponsorami, z reżyserami i aktorami – szczególnie młodymi, dla których Ludowy to świetna, profesjonalna szkoła. Jak się okazuje – umie pertraktować nawet ze skinami, których żręcznie spacyfikował, niczym św. Franciszek groźnego wilka z Gubbio. Na

Forza... to spektakl powstały w Viterbo, w Teatro dell'Unione i wystawiony pierwszy raz przed 10 laty. Okazał się ogromnym sukcesem. Przełożone przez Mario Castellacciego na język musicalu dzieje św. Franciszka z Asyżu, przyjaciela zwierząt, drzew i biedaków trafiły do publiczności wielu krajów. W połowie 1991 roku dokonano znakomitego zapisu sztuki dla RAI UNO. Między innymi tą drogą spektakl trafił do Krakowa.

Wierzę w jego sukces. Mocno odmłodzony zespół Ludowego zupełnie dobrze poradził sobie z trudnościami, jakie stwarza realizacja widowisk muzycznych. Reżyser przedstawienia **Andrzej Jamróz**, zrozumiał, że nie powinien liczyć na cud (nawet w *temacie św. Franciszka*) i że z naiwniejszej warstewki literackiej spektaklu nie wycisnie się żadnej głębi. *Forza...* powinna być zabawą, i dla aktorów, i dla publiczności. Udało się stworzyć barwne, radosne widowisko – w czym wiele zasług scenografa **Macieja Jaskowskiego**, posługującego się prostymi, ale sugestywnymi środkami: barwnymi plamami świetlnymi i opuszczanymi z mostu nad sceną elementami architektury. Ten skrót i prostota sprawiły, że kilka scen zbiorowych (zwłaszcza scena bitwy z drugiej części spektaklu) wypadła wręcz brawurowo i pięknie plastycznie.

Postać św. Franciszka (**Rafał Dziwisz**) nieco ginie na scenie, mimo że aktor dysponuje niezłymi warunkami głosowymi (we włoskiej wersji św. Franciszka odtwarzał znany piosenkarz **Michele Paulicelli**, obecny zresztą na premierze). Znakomicie wypadają natomiast **Sławomir Sośnierz** (ojciec Franciszka) i **Ziuta Zajęcówna** (Stuknięta): ich niemal kabaretowe dialogi i monologi na proscenium, kontrapunktujące zdarzenia *historii świętej* są z pewnością atutami tego przedstawienia.

nie zapomnianych źródeł religijności – w czasach, gdy religia coraz częściej miesza się z polityką, gdy przestaje być rozmową człowieka z Bogiem, a staje się sposobem manifestowania postawy wobec władzy, państwa, historii i – co śmieszne! – ekonomii – potrzebne jest przede wszystkim młodym widzom.

Najważniejsze, że takie spektakle integrują zespół, dają aktorom wiarę we własne możliwości i w to, że ...warto tu być.

Mam nadzieję, że podobnie myśli Jerzy Fedorowicz: powinien pozostać ze *swoimi* aktorami, którzy w niego uwierzyli; jeszcze kilka sezonów, zanim zaczną spoglądać na horyzont, gdzie widać Kraków i jego dostojniejsze teatry.

* Państwowy Teatr Ludowy w Nowej Hucie. Mario Castellacci – *Forza venite gente*. *Brat Franciszek*. Reżyseria: Andrzej Jamróz, muzyka: Michele Paulicelli. Premiera polska – grudzień 1991.